

# MŁODY GEOGRAF

## TREŚĆ

	Str.
Józef Staško: Bułgaria współczesna . . . . .	1
W. Walczak: Motocyklem przez Pojezierze Wileńskie . . . . .	5
Edward Chrostowski: Do Pienin . . . . .	10
L. Menasse: Moje wrażenia z pobytu nad morzem . . . . .	13





Józef Staśko.

## Bułgaria współczesna.

Wyjątki z notatek robionych w czasie wycieczki wakacyjnej — lipiec 1936 r.

Oczom turysty Bułgaria przedstawia się jako kraj niezwykle malowniczy i bogaty. Ogromne urozmaicenie w krajobrazie i urzeźbieniu ma swój odpowiednik w wielkiej różnorodności życia gospodarczego i kulturalnego. Po obu stronach wijącego się wśród gór i dolin toru kolejowego rozciągają się pola pszenicy i kukurudzy i sady drzew oliwnych i gruszy, oraz pastwiska z niezliczonymi stadami krów, koni, owiec i kóz. Wśród sadów tu i ówdzie widnieją małe wioski o charakterystycznych piętrowych chatach z czerwonymi dachami i szerokimi werandami i gankami. Miast mało, ale zato widać wszędzie dobrobyt i czystość gdzieindziej na półwyspie Bałkańskim mało spotykaną. Zdumiony turysta pochłania szybko wrażenia i dopiero w zetknięciu się z ogromną życzliwością i gościnnością Bułgarów przekonywuje się pomału, jak dalece nie znał Bułgarii i jak fałszywie ją sobie wyobrażał.

Na niewielkiej stosunkowo przestrzeni, bo na 103 000 km<sup>2</sup> obszaru, powstało mnóstwo prześlicznych krajobrazów. Na samym południu potężne górotwory Rodope, Rila i Pirin wznoszą się ponad 2900 metrów i szczytami swemi przypominają alpejskie widoki dzięki swoim przepaściстым zboczom, głębokim wąwozom, wspaniałym wodospadom, licznyim jeziorom, szumiącym potokom, kolejowym tunelom czy wijącym się wysoko ponad skały gościńcom.

W sąsiedztwie tych bogatych w letniska, zdrojowiska i górnicze okręgi masywów górskich, będących jednym z ogniw ogromnego masywu Rumelijsko-Trackiego, znajdują się głębokie zapadliska i kotliny, jak np. nad rzekami Maricą i Tundżą, gdzie powstały niezwykle urodzajne równiny z uprawą na wielką skalę kukurudzy i tytoniu. Bardziej na zachód u stóp panującej nad całą kotliną góry Witosza śniegiem pobielonej nieraz i w lipcu pobudowało się wspaniałe dziś wyglądające, zupełnie nowożytnie miasto Sofja, dokoła małego ośrodka, zabytkowego i pełnego wspomnień historycznych, **Sredec** (Środek). To nowa, dzisiejsza 300-tysięczna stolica państwa.

Dokoła lasy, w nich zdrojowiska (gorące źródła), a dalej rozległe pastwiska, grzbiety górskie, piętrzące się coraz wyżej i wyżej. Wszystko skąpane w jaskrawem oświetleniu południowego, upalnego słońca, w którego blaskach widać nawet ostre załomy oddalonego grzbietu Starej Planiny (Bałkan środkowy). Koloryt nieba, wielka różnaitość obłoków, mnóstwo światła, ta mnogość barw, ta wielka ilość widoków zgromadzonych na jednej przestrzeni zachwyca każdego obcego tem szczególnie, że tego nikt się nie skodziwał tutaj oglądać.

Na północ od Bałkanu rozciągają się rozległe równiny aż po stromy od strony bułgarskiej brzeg Dunaju, gdzie pełno wśród łąk pszenicy i kukurduzy winnic i sadów otaczających każdą wioskę, każdą zagrodę.

Również malownicze są wybrzeża morza Czarnego, gdzie widoki na praepaściste skały, o które rozbijają się z łoskotem fale morskie, łączą się jaskrawo z widokami na ogromne przestrzenie winnic i lasów o ciemnozielonym ulistnieniu bukszpanu i innych krzewów południowych. Wielkie zwały białych piasków, to znów głęboko wcięte zatoki morskie lub ostre cyple skalistych przylądków jeszcze dodają uroku całemu krajobrazowi.

A kiedy chcemy zwiedzać kotliny i doliny, które głęboko pocięte są góry Bałkanu, zachwycimy się również tą różnorodnością krajobrazów. To zdaje się nam, żeśmy zawędrowali gdzieś w okolice Żabiego na Huculszczyźnie lub Istebnej w Beskidzie Śląskim, to znów, że zwiedzamy głębokie i dzikie wąwozy alpejskie czy pirenejskie. Okolice starej stolicy Bułgarii, **Tirnowa**, należą do najpiękniejszych w całym kraju.



SOFJA. Zachował się jeszcze charakter turecki tej części miasta (meczet) W głębi widok na ośnieżone góry Witosza.

Fot. J. Staško.

Wysoko na skałach ponad wijącym się jarem Jantry pobudowały się jedno nad drugimi jasnożółte i pomarańczowe domki, podobne zdaleka do jaskółczych gniazd raczej, niż do ludzkich siedzib. Dnem wije się powoli Jantra, w tafli jej odbija się błękit nieba, owe rzędy domów Tirnowa, białe skały i zielone gąszcz leśny.

Wgłębi Średniej Góry, grzbietu należącego również do Bałkanu, powstały przez zapadliska żyzne kotliny, a dokoła miast Kazanliku, Karłowa czy Starej Zagory kwitną niezmierzone pola róż. To bogactwo, to dobrobyt Bułgarii.

Jaka obfitość malowniczych krajobrazów, taki jest i człowiek. Jaskrawe o barwach wspaniałych kwiatów hafty, któremi wyszywane są koszule ludu bułgarskiego, odzwierciadlają i widoki otaczających łąk, pól, lasów i gór, a zarazem i duszę mieszkańców. Z wielką starannością i niezwykłą troskliwością dbają Bułgarzy o swój strój ludowy, w którym nawet na balach i uroczystych przyjęciach inteligencja lubuje się i ukazuje, podkreślając w ten sposób także łączność swoją ze wsią, z której może wyrosła i wyszła. Bułgarzy chlubią się swoją sztuką ludową, również swojemi tańcami narodowemi, (np. **choro**), pieśniami i zwyczajami, które od niepamiętnych czasów do dziś się zachowały i są utrzymywane.

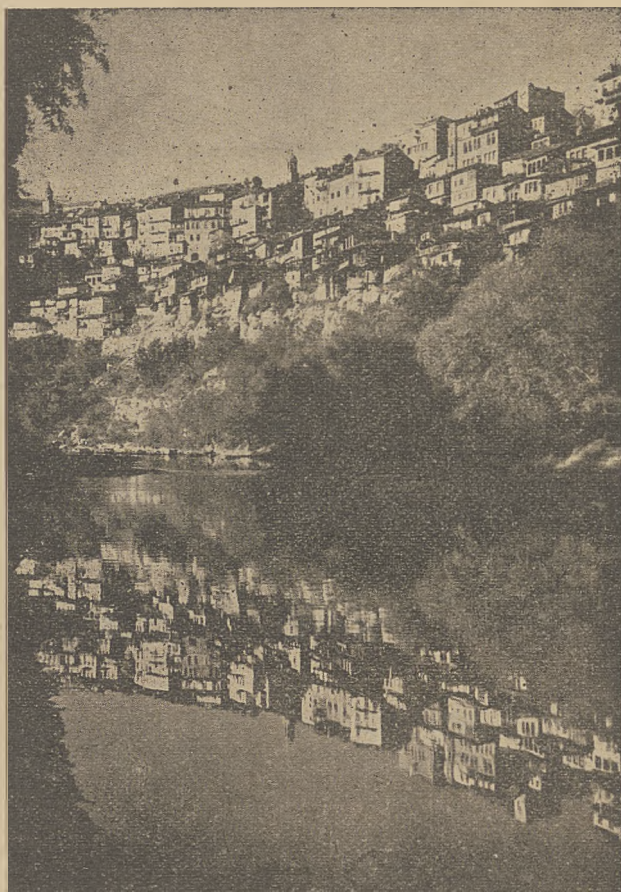
Cechy charakteru Bułgarów są niezwykle i dla obcych często niezrozumiałe. Już sam fakt, że mimo tylu wojen, najazdów, długoletniej niewoli tureckiej i wielu rzezi w ciągu kilku wieków naród się ocalił i zachował przy życiu, świadczy o dzielności i niezłomności tego charakteru. Mało tego; Bułgar jest nieustraszonym, odważnym, śmiałym i zaradnym w każdej potrzebie. Mimo tylu klęsk i walk narodowych o byt jest wesoły i pełen zawsze humoru i dobrej myśli.

Bułgarzy są bardzo zdolni do języków obcych i matematyki, mają dobrych inżynierów, adwokatów i profesorów. Nauka u Bułgarów obecnie ogromnie się rozwinęła, również i szkolnictwo. Wszędzie po miastach założone są szkoły dziecięce dla dzieci od 5 do 7 lat (nasze przedszkola lub freblówki), ich jest 64 w całym kraju. Pozatem jest przymus nauczania i wielka walka z analfabetyzmem. Obecnie Bułgaria posiada ponad 4.000 czteroklasowych szkół początkowych (u nas powszechnych) Następnie idą progimnazja z programem 3 wyższych klas naszej szkoły powszechnej i tych jest w kraju 1655. Szkolnictwo średnie dopiero niedawno temu się zorganizowało, a już ma świetne karty swej pracy. Wycieczka polska zwiedzała w lipcu tego roku wystawy szkolne w Sofji, Płowdiwie i Tirnowie, a również najrozmaitsze szkoły, głównie średnie, i zetknęła się z młodzieżą i nauczycielstwem bułgarskiem, to nie miała słów uznania dla dzielnych i pracowitych Bułgarów. Pęd do nauki jest ogromny. Gimnazjów jest 44 państwowych i kilka prywatnych, szkół pedagogicznych zaś 18. Pozatem niepełnych gimnazjów jest 63 i wiele szkół zawodowych, rzemieślniczych, kolejowych, gospodarczych, handlowych i innych.

Szkolnictwo wyższe i nauki ścisłe również rozwinęły się dość późno, a już są w rozkwicie i na wysokości swego zadania. Oprócz uniwersytetu w Sofji ze 7 wydziałami istnieje w stolicy i na prowincji wiele różnych szkół wyższych i towarzystw naukowych. Przedewszystkiem świetnie się rozwinęła Centralna Stacja Doświadczalna przy Ministerstwie Rolnictwa z filjami w Sadowie, Pelwnie i Russe. Naukowy Instytut Gospodarczy badający warunki pracy wszystkich obywateli kraju i starający się stworzyć dobre warunki pracy, może być wzorem dla wielu państw europejskich (Polska takiego nie posiada). Centralna Stacja Meteorologiczna, różne muzea, wspaniały ogród zoologiczny będący prywatną własnością króla bułgarskiego, ogromny ogród



botaniczny, wiele ukazujących się czasopism naukowych, wiele dzienników tygodników i miesięczników, a dalej teatry i kina znajdujące się w każdej nawet małej mieścinie, stosunkowo gęsta sieć kolejowa i szos bitych i autostrad asfaltowych, to też chluba i oznaka pracowitości Bułgarii współczesnej. Sztuki piękne, jak malarstwo i rzeźba, ceramika i dekoracyjne zdobnictwo stanęły obecnie bardzo wysoko i Bułgaria może się tem szczycić, że wśród innych Słowian zajęła wybitnie samodzielne i odrębne, zaszczytne stanowisko.



**TIRNOWO**, stara stolica Bułgarii. Miasto prześliczne położone na zboczach jaru Jantry.  
Fot. J. Staško.

Nie miejsce tu na wyliczanie nazwisk wybitnych mężów stanu, wodzów, ludzi nauki czy pracy współczesnej Bułgarii. Wspomnę tu jeszcze o zbliżeniu między Polską a Bułgarią, jakiego teraz jesteśmy świadkami. Kult i cześć dla Polski w Bułgarii tkwił zawsze, bo to był kult równocześnie bohaterstwa i wspólnej walki z Islamem. Już od czasów Władysława Warneńczyka, który przez swoją śmierć na polach Warny, więcej zrobił dla propagandy Polski

w Bułgarii niż cała dyplomacja polska w ciągu wieków dawnej Rzeczypospolitej, datuje się ta łączność Polski z narodem bułgarskim. W w. XIX Bułgarzy ogromnie się interesowali losami Polski, choć sami cierpieli wiele tragedj narodowych, powstań i wojen. Dzisiaj Bułgarzy uczą się języka polskiego często przyjeżdżają do Polski, znają nas lepiej, niż my ich. Starają się zbliżyć do kultury polskiej i ją poznać dokładnie. Młodzież bułgarska zna Sienkiewicza, Mickiewicza, Żeromskiego i Wyspiańskiego, czy się kochać Polskę, którą uważa za przyjaciółkę swej Ojczyzny. Gorąca miłość swego kraju przedradza się u Bułgarów w uwielbienie i ubóstwienie i przechodzi nawet na miłość innych krajów z nimi związanych przyjaźnią. Nic dziwnego, że oni z taką serdecznością i gorącością swoich uczuć przyjmują każdą wycieczkę polską, czy to byli polscy akademicy z przedstawieniem Kopernika, czy reprezentacyjna wycieczka młodzieży polskiej czy obecność Polaków na Kongresie Geografów i Etnografów Słowiańskich.

Dlatego powinniśmy więcej zainteresować się Bułgarią będącą dziś w trudnych warunkach politycznych i starać się poznać ją i jej kulturę. W ten sposób Polska może stanąć silną stopą i rozszerzać tam swoją kulturę i zagarnąć wpływami gospodarczemi choćby tylko część półwyspu Bałkańskiego. A Bułgaria życzy sobie tego i pragnie nawiązać bliskie stosunki z Polską.

Możliwości tego nawiązania są bardzo duże, choćby wspomnieć, że w Bułgarii kupujemy tytoń, a wywozimy tam lokomotywy. Czy tylko na tem ma się oprzeć owo zbliżenie gospodarcze?

Czajkowski i inni polscy pisarze, a zwłaszcza Polacy walczący w ubiegłym wieku o wolność i niepodległość Bułgarii starali się nawiązać tę łączność Polski z Bułgarią i o tem Bułgarzy dobrze wiedzą. A dzisiaj trzeba znaleźć u nas ludzi, coby tę nić wzmocnili i pomogli w ten sposób Towarzystwu Polsko-Bułgarskiemu w Sofji lub Towarzystwu Bułgarsko-Polskiemu w Warszawie.

Pamiętajmy o tych organizacjach współpracy obu bratnich narodów!

---

*Wojciech Walczak, student geogr. U. J.*

## Motocyklem przez Pojezierze Wileńskie.

(15 i 16 dzień z dziennika naukowego rajdu motocyklowego studentów Geogr. U. J. w Krakowie na kresy wschodnie).

Z warkotem rozpędzonego motoru przebiegamy kręte, strome uliczki Zarzecza, bijące w koła powierzchnią swych kocich łbów. Jeszcze jeden zakręt, jeszcze jedno dodanie gazu i ostatnie domy przedmieścia wileńskiego zostają poza nami.

Pędzimy szosą na Nową Wilejkę, mając po prawej stronie wijącą się w jarowej dolinie srebrzystą wstęgę Wilejki, a po lewej tor kolei na Nowe

Święciany. Szosa o nawierzchni z brukowca wije się wśród sosnowych lasów to znów złotych ściernisk, wybiegając na pagórki, to znowu zbiegając w dolinę. Jest cudnie. Nad głowami złote, lipcowe słońce na lazurowym niebie, a tu i ówdzie na tle błękitu szalonym kontrastem odbijają się wielkie, białe obłoki. Powietrze drga od gorąca, którego jednak nie odczuwamy izolowani pędem maszyny.

A krajobraz? — Można śmiało twierdzić, że te pokryte zielenią lasów, woniejące żywicą pagórki to po Huculsczyźnie druga co do krajobrazowych walorów kraina naszych wschodnich rubieży, które od piętnastu dni mamy możliwość przemierzać. Ciągłe ma się złudzenie, że nie jest się tu w najdalej na północ wysuniętym cyplu Polski na szerokości geogr. Danji, czy południowej Szwecji, ale tam daleko na południu na naszym poczciwym Podkarpaciu.

Pędzimy coraz dalej, szosa pod nogami mknie w tył w zawrotnej szybkości, a po bokach z głuchem kłasnieniem przebiegają słupy telegraficzne, drzewa, a dalej suną pola, lasy, osady.

Strzałka licznika dobiega do osiemdziesiątki. Wnet mijamy Nową Wilejkę i walimy dalej na wschód traktem Batorego do Michaliszek. Tu zaczynają się prawdziwe puszcze litewskie, a osady spotyka się tylko wśród nich na rzadko rozrzuconych wzdłuż drogi wyrębach. W drzewostanie, o ile to rozoznać z pędzącej maszyny, przeważają świerki i sosny, a świadczą o tem także przesycone żywicznym aromatem powietrze. Jednak po jakich dwudziestu kilometrach lasy rzedną, ustępując polom uprawnym, tworząc tylko wśród nich wielkie, zielone wyspy.

Za Michaliszkami po przebyciu Wilejki wjeżdżamy znów w większe skupienia leśne. Teren układa się w poprzeczne do drogi wały, między którymi tworzą się obszerne rynny; — ukształtowanie to jest pozostałością akumulacyjnej działalności skandynawskiego lodowca. W jednej z takich rynien zabłyśły w promieniach słońca wody podłużnego jeziora Świr. Skręcamy na boczną, piaszczystą drogę i dojeżdżamy o ile to możliwe jak najbliżej brzegów jeziora.

Z tej strony brzegi pokryte są moczarami i jakie parę kilometrów trzeba skakać z kępy na kępę, aby wreszcie dostać się na sam zarośnięty sitowiem brzeg. Na nasz widok porywają się ciężko do lotu dwie żerujące przy brzegu czaple, a za chwilę tuż z pod nóg wystrzela z głośnem klaskaniem skrzydeł i krzykiem duża krzyżówka, aby po krótkim locie zapaść dalej w sitowia.

Wody jeziora o stalowo-siwej barwie lekko fałują muskane wiatrem, który kołysze kiście przybrzeżnych szuwarów. Miejscami żółte linje wodne tworzą barwne plamy w monotonji stalowej barwy wody i zieleni sitowia.

Po pochwyeniu na film kilku nowych motywów wracamy do naszej maszyny, by tą samą polną dróżką dojechać do szosy, która prowadzi nas przez Konstantynów, typową kresową miejscinę, dalej do Kobylnik, skąd mamy skręcić ku brzegom Naroczy.



Za Konstantynowem szosa zagłębia się znów w bór sosnowo-świerkowy. W pewnej chwili, prawie w przelocie zauważam małą tabliczkę — „do jeziora O. 2 km“ — bez namysłu robimy warjackie w tył zwrot szurnawszy przytem oponami po szosie i jesteśmy na szalenie piaszczystej drożynie idącej w las. Piłujemy mały pagórek, co w obecnych warunkach, gdy koła toną wprost w piachu pociąga za sobą używanie „jedyńki“. Po zjeździe z niego przed oczyma otwiera się naprawdę wspaniały widok.

Poprzez zwisające nad drogą gałęzie wiekowych świerków, w okoleniu prawie białych, piaszczystych łąch cudnie harmonizujących z zielenią lasów, błyszczą migotliwa, olbrzymia tafla jeziora, co leży tu wśród litewskich borów, jak zwierciadło przez olbrzymów porzucone, w którym przeglądamy się błękitem swem niebios a pędzące po nich białe obłoki. Widok ten tak był cudny i pierwsze wrażenia tak mocne, że na chwilę przygwoździło nas na miejscu i tylko oczy paśliśmy niespodziewanem pięknem.

Na przybrzeżnym piasku na poły w wodzie tkwi stara, zmurszała, zielona od porostów łódź rybacka; — tam znów resztki podartej sieci, a na linji zetknięcia fal z brzegiem pas wyrzuconych przez fale na biały piasek ciemnych muszelek i porostów. — A wkoło jak okiem sięgnąć lasy, lasy i lasy tworzące zwarty, sinozielony pierścień wokół srebrzystych wód jeziora.

Rzut oka na mapę mówi, że jezioro to nosi dziwaczne imię Wielka Szwakszta, ale mniejsza o nazwę, gdy ono samo jest tak cudne, że chciałoby się gdzieś nad brzegami rozbić obozowisko i na kilka choć dni zamieszkać tu, rozkoszując oczy pięknem naszej przyrody. Ale los nieubłagany pędzi nas dalej, wszak dzisiejszy dzień w marszrucie ma zakończyć Brasław, a do niego pozostał jeszcze szmat drogi.



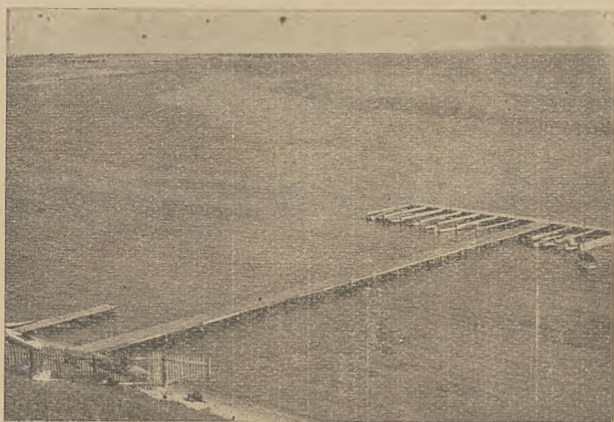
Jezioro Wielka Szwakszta niezwykle malowniczo położone wśród lasów sosnowych.  
Fot. W. Walczak.

Zahuczła puszczone w ruch maszyna i, wróciwszy do szosy, mkniemy dalej; wkrótce wpadamy do Kobylnik. Tu pewną przeszkodę w jeździe

stanowił dzień targowy i płoszące się na widok motoru konie, ale jakoś cało, zasięgnąwszy w przejeździe języka, skrecamy na boczną drogę, miejscami porytą głębokimi kolejami, prowadzącą do przystani szkolnej nad Naroczą. Po dwóch kilometrach wśród obłoku wyrzucanego przez koła kurzu zajężdżamy przed bramę przystani i po pertraktacji z „czynnikami kompetentnymi“ wtaczamy naszą maszynę w obręb zabudowań.

A jezioro? — wbiegamy po schodkach na płaski dach przystani i zaczynamy obserwację.

Narocz uderza przedewszystkiem swym ogromem. Jak okiem sięgnąć falująca płaszczyna wód, urozmaicona ciemniejszymi tonowaniami od stali do zielonkawego błękitu plamami, zdradzającymi głębokość toni. Brzegi okalające półkolem-taflę jeziora stają się z oddaleniem coraz węższe, coraz bardziej sine i zlewające się z kolorem wód, aż wreszcie po przeciwległej stronie nikną zupełnie i tam sino-niebieskie wody Naroczy łączą się bezpośrednio z błękitem nieba. O biały piasek wybrzeża regularnie uderzają fale tak, że można śmiało mieć złudzenie naszego wybrzeża morskiego n° p. gdzieś w zatoce Puckiej w czasie ciszy, gdy fale nie są zbyt wysokie. Szum fal uderzających o piasek łączy się z bełkotliwym szmerem spływającej po rozbiciu się o wybrzeże wody i tak ciągle szumi i szumi to nasze śródlądowe „małe morze“.



Jezioro Narocz. Widok z dachu schroniska na przystani.

Fot. W. Walczak.

Od przystani śmiało wybiega ku środkowi jeziora długi, kilkudziesięciometrowy pomost, kończący się krótkim poprzecznym pomostem, służącym za przystań dla większych żaglówek, które normalnie z powodu przybrzeżnej płyiczyny do brzegu dobijać nie mogą. Ale zato kajaki bez przeszkody uwijają się i tu przy brzegu i dalej na falach jeziora idąc o lepsze z dumnie prującymi fale pod białymi skrzydłami żagli jachtami. Ale niebrak i łodzi rybackich, dużych, ciężkich, masywnych kryp, które głęboko zaryte swym ciężarem w piasku przybrzeża dziwnie kontrastują z kołyszącymi się obok, lekkimi,

smukłemi kajakami. Mimowoli na taki widok nasuwa się analogja do symbolicznego „wczoraj i dziś“.

Tymczasem nasze żołądki zaczynają upominać się o swe prawa; trudno i „chlebem czasem człowiek żyje“, jak brzmiałoby przekręcone stosownie do obecnej sytuacji popularne przysłowie. Aby więc zadość mu uczynić, sprawiamy istny pogrom w dziale mleczno-nabiałowem miejscowej restauracyjki i uniwersalnego bazaru zarazem, a po tym obiedzie pogapiwszy się jeszcze na jezioro, i powłóczywszy się trochę po wybrzeżu, dosiadamy znów maszyny i wiejemy z powrotem do Kołybnik. Tu zachodzi potrzeba odnowienia zapasu benzyny i oliwy, a w międzyczasie zasięgamy języka w sprawie drogi do Brasławia. Powszechnie doradzają nam jazdę na Komaje-Widze i Opse i do rady tej postanawiamy się zastosować. Ruszamy i z miejsca wpadamy na znośną wprawdzie, lecz niemożliwie wąską drogę terenową. Piasku w miarę, małe pagórki, od czasu do czasu wieś z uliczką pokrytą kociemi łbami, czasem znów sosnowy las, a wtedy piasku cośkolwiek zadużo, to znowu w miejscach wilgotniejszych kobierzec trawy pokrywający drogę; — oto suma wrażeń, które się powtarzają w takim lub w innym porządku, jednym słowem we wszystkich możliwych kombinacjach. Zrzadka tylko większe urozmaicenie stanowi nieszczęśliwy woźnica na próżno wysilający się nad opanowaniem ognistości swych rumaków spotęgowanej niecodziennym widokiem naszej maszyny. Usiłowania te kilka razy, mimo całej dobrej woli z naszej strony objawiającej się w zwolnieniu do minimum biegu maszyny, skończyły się dość prozaicznie dla woźnicy, bo w rowie, na szczęście płytkim i zarośniętym wysoką trawą. I tak mijamy Komaje, Hoduciszki, okrążamy Widze — wszystko miściny podobne do siebie niegrzeszące czystością, składające się przeważnie z domków parterowych, nędznych i brudnych sklepików, wśród których po-każna ilość herbaciarni o szyldach, na których niepodzielnie króluje mniej lub więcej udatnie namalowany samowar.

Za widzami droga prowadzi brzegiem znanego ze swej malowniczości mniejszego wprawdzie, lecz bogato rozczłonkowanego jeziora Widzkiego. Nisko zawieszona nad horyzontem czerwona tarcza zachodzącego słońca rzuca na powierzchnię jeziora długi, migotliwy krwawy refleks.

Droga za Widzami zaczyna się psuć zdecydowanie. Piasek coraz głębszy, już nie tylko koła zagłębiają się porządnie, ale i od czasu do czasu podwozie szuruje po powierzchni, gdy koleiny, któremi zmuszony jestem prowadzić maszynę, stają się zbyt głębokie. Motor jednak mimo całego wysiłku mimo szalonego nagrzania się pracuje bez zarzutu i choć powoli, lecz wytrwale posuwamy się naprzód. A mamy i towarzysza niedoli, dopędzamy bowiem pod jednym z pagórków ciężarowy samochód, który zdaje się dla wyminięcia furmanki musiał zjechać z kolein stanowiących ze względu na ubicie w nich piasku najtwardszą część drogi, no i nieborak, jak to się mówi, wpadł. Koła tylne obracają się w miejscu z powodu niesłychanej rzadkości piasku, a przygniatane jeszcze ciężarem ładunku werznąły się prawie po osie i biedny szofer w chwili, gdyśmy go mijali, używał całego swego dosadnego repertuaru słów dla określenia położenia, w jakim się znalazł.



Za Ōpsą szanse się trochę poprawiają, droga staje się coraz możliwsza, aż po kilku kilometrach terenową drogę o dziwo! zastępuje bita szosa. Poprawia to z miejsca nasze nadwątłone piaskiem humory, no i szybkość maszyny, to też wnet, już o zorzy wieczornej oczom naszym przedstawia się rozległe jezioro Drywiaty, na którego północnym brzegu widać Braślów, ostatni etap dzisiejszej jazdy.

Droga okrąża jedną czwartą obwodu jeziora i biegnie tuż nad jego brzegiem, tak że bez stawania ma się możność podziwiać to po Naroczy jedno z największych jezior w kraju. I ono podobnie jak Narocz przedewszystkiem bije w oczy swą wielkością, a przy dwunastu kilometrach średnicy jeziora brzeg przeciwny ginie zupełnie. O brzeg także szumiące fale, ale teraz przy zorzy wieczornej powierzchnia wód jest jakaś bez życia jak otów sino-szara i jedynym urozmaiceniem jest kilka chwiejących się na falach łodzi rybackich.

Droga zaczyna piąć się na pagórek i za chwilę wjeżdżamy do Braławia. Robi on dość miłe wrażenie, domy czyste, większe, nawet mijamy piękny skwer otaczający pomnik Marszałka Piłsudskiego. Dopytawszy się o drogę do szkolnego schroniska, kierujemy się do niego bez zwłoki ze względu na zapadający zmrok. Mieści się ono z drugiej strony miasta, a właściwie już za miastem w dużym drewnianym budynku szkoły powszechnej wśród sosnowego lasu na brzegu jeziora.

Otrzymujemy na noc salę na górze i wnet przyprowadzamy swe figury do bardziej cywilizowanego wyglądu, gdyż ze względu na to, że resztę sal zajmuje kolonja letnia uczenia szkoły handlowej z Warszawy, zachodzą względy „reprezentacyjne“, — przecież trzeba możliwie z fasonem reprezentować „krakowski świat geograficzny“. Po kolacji, na którą na zaproszenie kierowniczkii obozu schodzimy na dół do zaimprovizowanej sali jadalnej i po godzinnej jeszcze pogawędce kładziemy się na zasłużony spoczynek.

C. d. n.

---

*Edward Chrostowski, kl. II c.*

## Do Pienin.

(Sprawozdanie z wycieczki wakacyjnej).

Barometr wskazuje niepewną pogodę, ale co robić, czas nagli, wakacje uciekają, trzeba się jednak wybrać na wycieczkę. Dobrze, ale dokąd? No,— do Pienin, takie urocze miejsce i najpiękniejszy przełom w Europie, to trzeba koniecznie zwiedzić. Warto także przypatrzeć się życiu tutejszych mieszkańców, poznać ich zwyczaje i kulturę, pogawędzić sobie z „bacą“ w „kolibie“ na hali, posłuchać śpiewnego dźwięku dzwonek i śpiewu „juhasów“, a wreszcie i odetchnąć górskim powietrzem.

Konduktor daje znak ręką i woła: „odjazd“. Pociąg rusza, ale jakoś powoli i ospale, jak gdyby stosownie do pogody. Niknie nasz kochany Biecz. Jeszcze w oddali widać wieżę kościelną i ratusz, a po chwili wszystko zasłania mgła. Pociąg zatrzymuje się w Zagórzanach. Jest tu olbrzymi sad dawniej Hr. Skrzyńskiego, dziś Hr. Sobańskiej. Następna stacja to Stróże. Tu mijamy się z pociągiem pospiesznym, który pędzi do Krakowa. Następna stacja to już Nowy Sącz. Tu wysiadamy.

Nowy Sącz jest miastem nowszem, przez niego prowadziła ongiś ważna droga handlowa na Węgry. Wychodzi tu gazeta pt. „Głos Podhala“. Zwiędzamy cmentarz, na którym spoczywają prochy śp. Bronisława Pierackiego, przykładowego syna Podhala, a potem idziemy na zamek, gdzie Jan Długosz wychował synów króla Kazimierza Jagiellończyka. Zamek zachował się dość dobrze, a dziś jest wewnątrz odnawiany. Przechodzimy przez dzielnicę Kazimierzowską, zamieszkałą dziś przez żydów. Nowy Sącz posiada potężny most żelbetonowy, na którym zaznaczone są znaki licznych powodzi, a także największej z r. 1934.

Przy pięknej pogodzie wędrujemy do Starego Sącza, który słynie z wyrobów doskonałych kielbas, podobnie jak Dembowiec. Stary Sącz był dawniej ogniskiem handlu z Węgrami. Był on także miastem obronnem, o czym świadczą szczątki murów oraz baszta. W drodze zatrzymujemy się na tzw. „Górze Winnej“, o której krążą rozmaite legendy; z tych dwie sobie zapisałem. Na tej górze mieszkał niegdyś bogaty szlachcic, a całą górę pokrywała winorośl. Wewnątrz tej góry są olbrzymich rozmiarów piwnice, w których mają znajdować się wielkie zapasy wina. Wejście do tych piwnic jest zawalone. Druga legenda opowiada, że na tej górze odbywały się egzekucje, gdzie ścinano winnych i stąd ta nazwa. Ile jednak w tem prawdy, a ile fantazji, trudno dociec. W Starym Sączu nocujemy.

Równy ze świtem ruszamy w drogę do Szczawnicy. Trasa nasza prowadzi przez Rytro i Beskid Sandecki. Nad Rytrem widać ruiny zamku na stromej górze. Idziemy za znakami turystycznymi zielono-białymi. Najwyższy szczyt, który musimy zdobyć to Prehyba 1108 m., (n. p. m.) a niedaleko widnieje Radziejowa 1265 m. n. p. m. Ze szczytu Prehyby mogliśmy się nasycić pięknym widowiskiem, jakie nam sprawiła mgła, która niby firanka to osłaniała, to odkrywała nagie i poszarpane szczyty Pienin. Po 3-godzinnej wędrówce z Prehyby doszliśmy do Szczawnicy, która swą nazwę posiada od wód mineralnych żelazisto-szczawinowych i im w dużej mierze zawdzięcza swój rozwój. Szczawnica leży na południowych kresach polskich tuż pod Pieninami. Nie posiada narazie linii kolejowej, ale ma dogodnie połączenie autobusami P. K. P. oraz dobrą szosę, która prowadzi przez Krościenko do Sącza. Droga dla kolei jest już wytyczoną, lecz trudność stanowi budowa 4 mostów na Dunajcu.

Szczawnicę zamieszkuje ludność góralska, co widać po stroju, a która mówi gwara podhalańską. Ludności powodzi się nienajgorzej, a to dzięki ruchowi letniskowemu. Część ludności trudni się rolnictwem i hodowlą bydła.

Owies hodują mało i mówią, że to się nie oplaca. Sieją żyto, owies, nieco pszenicy oraz len i koniczynę. Dość duży procent trudzi się dorózkarstwem i spławianiem drzewa. Nieco ludności zajmuje się przewoźnictwem gości na „czworakach“ to jest łodziach złożonych z czterech wydrążonych pni drzewa, które, gdy wyciągają w górę rzeki, rozkładają i ciągną każde czółno osobno na linie idąc brzegiem. Przejazd z Czorsztynu do Szczawnicy czworakiem kosztuje 20 zł. (na czworaku zmieści się 7 osób). Życie górala jest twarde i szorstkie, pomimo to jego natura jest swawolna i wesoła jak szum „halniaka“ wśród dzikich cudów przyrody.

W Szczawnicy nocujemy w schronisku turystycznym „Tatrzańskie Towarzystwa w Szczawnicy“. Nocleg kosztuje 50 gr od osoby. Rano przejeżdżamy promem przez Dunajec na przeciwny brzeg. Pytamy przewoźnika o głębokość wody. „Tu ino 6 metrów, ale chajnok co się nazywa „Zbójcecki skok“ jest koło 30 m“. Według legendy, kto chciał należeć do drużyny „Janosika“, musiał w tym miejscu Dunajec przeskoczyć. Najpierw wspinamy się na Sokolicę (746 m n.p.m.), a następnie do pustelnika. Pustelnia stoi na szczątkach zamku kr. Kingi, która tutaj schroniła się w ucieczce przed Tatarami. Cały ganek puszelni pokryty jest nazwiskami gości z Krakowa, Warszawy, a nawet Gdyni. Pustelnia jest oddalona o dwie i pół godziny drogi od Szczawnicy i o półtorej godziny drogi od Krościenka. Z pustelni ciągniemy na Trzy Korony (983 m.), które są najpiękniejszym oraz najwyższym zakątkiem Pienin. Po drodze widzimy tu niezwykłą, pochodzącą jeszcze z trzeciorzędu roślinę „różanecznik“, który pozostaje dziś pod ochroną. Po półgodzinnym marszu docieramy na najwyższy szczyt Pienin, Glorietkę.

Wokoło cisza niczem niezmacona, niebo lazurowe u góry, a w dole niby srebrna wstęga wije się Dunajec. Nad nim leży Czerwony Klasztor, niestety dzisiaj po czechosłowackiej stronie. A dalej, jak okiem sięgnąć, góry i gór, aż wzrok zatrzyma się na czemś potężniejszym i majestatyczniejszym, *na polskich Tatrach*. Powietrze jest tak czyste, że widać nagie, białe turnie i źleby, oraz cienie padające od skał. Bardziej na zachód błyszczą się jak krople rosy dachy domów Nowego Targu, stolicy Podhala, na północny zachód Gorce, miejsce rodzinne Orkana, piewcy Podhala, z najwyższym szczytem Turbacz, (1311 m). Kiedy zesliśmy do wąwozu Sobczańskiego, dziwny przedstawił nam się widok. Nad nami tylko niebo, a wokoło nagie i dzikie skały. Na tle nieba bujała para ośłów, władców gór. Teraz zbiegamy w dół do Krościenka, które jest także uzdrowiskiem posiadającym wody żelazisto-szczawiove.

Krościenko, chociaż mniejsze, potrafiło zbudować po powodzi żelbetonowy most na Dunajcu kosztem 90 tysięcy zł, podczas gdy Szczawnica musi używać promu. Widoczny tu był duży kontrast w przyrodzie, budownictwie oraz w stroju. W okolicy Biecza żyto już było w stodołach, a tu rosło jeszcze prawie że zielone Domy w Krościenku drewniane i w stylu podhalańskim, a wewnątrz ład i czystość. Kto chce zapoznać się dokładnie z życiem górali podhalańskich, niechaj przeczyta książkę Tetmajera pt. „Na skalnem Podhalu“



oraz Jana Wiktora pt. „Orka na ugorze“. O Podhalu pisało wielu czołowych pisarzy, jak Wincenty Pol, Marja Konopnicka, Edmund Wasilewski i inni.

Z powrotem wracamy także przez Beskid Sandecki szlakiem turystycznym za znakami biało-czerwonemi. Gdy doszliśmy do Rytra, było już całkiem ciemno, a na hali nad Rytrem siedziała cała grupa Żydów, którzy zgubili drogę i zbłądzili poprostu pod domem, gdyż była to wycieczka z Rytra. Wskazaliśmy im drogę i poszliśmy dalej.

Korzyści z wycieczki odniosłem wielkie, gdyż zapoznałem się z uzdrowiskami i ludnemi wsiami oraz z kulturą tutejszego ludu. Błąd popełniliśmy ten, że zamiast przenocować w Ryrze, wsiedliśmy na pierwszy lepszy pociąg, i w związku z tem mieliśmy całą noc nieprzespaną, gdyż z Rytra do Biecza jechaliśmy 8 godzin. Pogoda, chociaż z początku niepewna, jednak się ustaliła i nam sprzyjała przez cały czas. Warunki kulinarne były zupełnie dobre, gdyż wszystkiego można tu było dostać, choć dość drogo. Wspomnienia z tej z tej wycieczki będą należały do najpiękniejszych w moim życiu.

---

*L. Menasse, kl. III a.*

## Moje wrażenia z pobytu nad morzem.

Część tegorocznych wakacyj spędziłem nad morzem, w małej wiosce rybackiej, Karwi. Karwia leży niedaleko granicy niemieckiej (9 km.) Punktami wycieczkowemi w najbliższej okolicy są: wieś Dębki na granicy niemieckiej, Jastrzębia Góra, znane uzdrowisko nadmorskie (6 km.), w jej okolicy Lisi Jar, prześliczny parów, wiodący na brzeg morza, pamiętny wylądowaniem tu Zygmunta III Wazy, po powrocie z podróży do Szwecji (jak głosi pomnik, stojący przy wejściu do jaru), oraz latarnia morska imienia Stefana Żeromskiego w Rozewiu. Latarnia ta ma 27 m. wysokości, a z galeryjek, które otaczają ją na trzech kondygnacjach, rozpościera się wspaniały widok na morze. Jeden obrót latarni trwa 3 sekundy. W ten sposób daje ona sygnał świetlny co 3 sekundy, a światło jej widoczne jest w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Dozorca uruchamia na chwilę latarnię (oczywiście dużo słabiej, niż ma to miejsce wieczorem) i daje wyczerpujące informacje o latarni, jej sile, itd. W ścianę latarni wmurowana jest tablica pamiątkowa, która głosi: „Ku czci niezapomnianego piewcy Bałtyku, który w mrokach narodowej nocy wskazywał drogi do niepodległości, a w wolnej Polsce budził miłość do morza, źródła wielkości i potęgi Państwa, na wieczną rzeczy pamiątką latarnię tę na wniosek Ligi Morskiej i Kolonialnej, decyzją Rządu Rzeczypospolitej w dniu Święta Morza 29 czerwca 1933 r. nazwano latarnią Stefana Żeromskiego“.

Ładna aleja prowadzi stąd do gmachu dawnej latarni, który obecnie stanowi placówkę obserwacyjną Polskiej Marynarki wojennej. Dawna latarnia jest o 1 m. wyższa, liczy bowiem 28 m. wys., mieszczą się tu zbiory chorągiewek

sygnalizacyjnych, plany okrętów wojennych obcych państw i t. p. — a na szczycie znajduje się luneta, przez którą dają się dokładnie rozpoznać okręty nawet stosunkowo dość odległe od brzegu. Należy dodać jeszcze, że w latarni w Rozewiu mieszkał przez jakiś czas Stefan Żeromski, od którego wzięła potem latarnia imię. Tyle o godnych widzenia rzeczach w okolicy Karwi.

Pierwszą moją wycieczką była wycieczka autem na półw. Hel. Z Karwi do wsi Helu jedzie się via Karwia - Jastrzębia Góra - Lisi Jar - Rozewie - Wielka Wieś Hallerowo - Chałupy - Kuźnica - Bór - Jastarnia - Jurata - Hel. — Wszystkie miejscowości na półwyspie z wyjątkiem Juraty, są wsiami rybackimi. Jurata jest najładniejszą, lecz i najdroższą miejscowością na półwyspie. Pobudowano ją dopiero w ostatnich 10 latach. Świetne powietrze, położenie wśród lasów oraz kilka luksusowych hoteli (jak „Lido“, jeden z największych hoteli półwyspu) uczyniły z niej najelegantsze i najbardziej komfortowe lotnisko półwyspu. Z lokali rozrywkowych należy wymienić kino-teatr, gdzie występują znakomici soliści Polski z koncertami oraz wielką nowoczesną halę sportową, gdzie ciągle widać trenujących szermierzy, bokserów i t. p. Półwysep jest koło Juraty bardzo wąski, więc letnicy mają do dyspozycji kąpiele od strony morza oraz w zatoce Puckiej. Właściwa plaża jednak i molo znajdują się od strony zatoki. Z molo widać przy dobrej pogodzie Gdynię, a z żaglówki 100-200 m. od brzegu roztacza się widok na cały półwysep, pokryty w większej części lasem.

Z Juraty już niedaleko do wsi Helu. Ulicę, którą jedziemy, tworzą po większej części charakterystyczne parterowe domki rybaków. dziś niestety zamienione na sklepy i stragany. Vis a vis od strony portu i mola szereg ładnych will. W porcie stoi większa ilość kutrów i motorówek, oraz jeden z parostatków, utrzymujących komunikację na linii Gdynia-Hel. Idziemy teraz na plażę. W lesie niedaleko plaży widać smukłą sylwetkę latarni morskiej. Latarnia na Helu nie jest dostępna dla publiczności, (daje ona sygnały świetlne co 14 sekund). Wychodzimy wreszcie na plażę. Plaża jest stale zatłoczona ludźmi. W obrębie miejsca strzeżonego znajduje się koszykówka i siatkówka. We wodzie liny oznaczają granicę kąpiele dla dzieci, dla nieumiejących pływać i dla pływających. Dłuższy czas spędzamy na dokładnym zwiedzeniu przystani oraz wsi. Po obiedzie odjazd do Juraty, przejażdżka po morzu żaglówką. W drodze powrotnej zatrzymujemy się jeszcze na krótko w Jastarni, by oglądnąć wewnątrz piękny parostatek „Gdynię“. Uprzejmy marynarz oprowadza nas po statku. „Gdynia“ sprawia bardzo dobre wrażenie swą wzorową czystością i elegancją. Oglądamy oba pokłady, łódzie ratunkowe, jedną z kajut itd. Po drodze do Karwi zatrzymujemy się jeszcze, by oglądnąć z zewnątrz wielką wędzarnię Żebrowskiego i Kirscha. Jastarnia oraz pozostałe miejscowości półwyspu, Bór, Kuźnica, Chałupy to wioski rybackie, Wielka Wieś Hallerowo ma się rozbudować, jako główny port rybacki na polskim wybrzeżu. Pozatem ma się tu zorganizować centrum handlu rybami. Do Karwi wróciliśmy wieczorem,

Drugą moją wycieczką była jednodniowa wycieczka autem na zwiedzanie W. M. Gdańska, Zoppot, Oliwy i Gdyni Droga prowadziła przez Jastrzębią Górę, Tupadły, Strzelno, Łebcz, Gnieźdzewo, Puck, Redę, Rumję, Chylonję, Gdynię, Orłowo, Zoppot, Gdańsk. Gdy przejeżdżaliśmy w Tupadłach obok sławnego napisu: „Niema Polski bez Kaszub, a Kaszub bez Polski“, szofer, który był zarazem naszym „ciceronem“, przypomniał sobie, że ma ze sobą przewodnik po wybrzeżu. Przeczytałem nazwisko autora: Józef Staśko. Takiej niespodzianki nie spodziewałem się, więc niemało byłem zdziwiony, widząc nazwisko naszego Profesora, redaktora „Młodego Geografa“, na przewodniku.

Za Gnieźdzewem, znanem z „Figłów gnieźdzewskich gburów“ ujrzelismy duży hydroplan, lecący nisko nad ziemią. Jak się później okazało, był to jeden z hydroplanów, których hangary ujrzelismy w Pucku. Przed hangarami, w zatoce, zauważyliśmy dwa hydroplany, z których jeden właśnie wznosił się w powietrze. W Pucku oglądaliśmy rynek z pięknym ratuszem oraz pobieżnie samo ciekawe miasteczko. Piękną drogą, częściowo przez las biegnącą jechaliśmy do Chylonji. Chylonja jest przedmieściem Gdyni. Po obu stronach szosy dużo nowych i budujących się domów. Wjeżdżamy do Gdyni. Jedziemy ulicą 10 Lutego, obok poczty. Duży gmach poczty otoczony jest rusztowaniem: dobudowuje się piętro.

Szybko mijamy Gdynię, ku niezadowoleniu uczestników wycieczki, którzy chcieliby już teraz coś oglądnąć, ale przewodnik tłumaczy im, że w drodze powrotnej wszystko godne uwagi postaramy się możliwie jaknajdokładniej obejrzeć. Trudno!

Jedziemy teraz przez Orłowo, reprezentacyjne kąpielisko polskie wspinała szosą ku granicy. Przy budce granicznej polskiej załatwiamy formalności. Wyjaśniamy, że jedziemy z wycieczką do Gdańska, pokazujemy dowody osobiste itp. „Panna Kontrola“ pyta o ilość przewożonej gotówki, czy mamy co do oclenia i zapisuje sobie coś w notesie. „Pan Kontrola“, widocznie lwowianin, życzy nam „fajnej jazdy“. Wreszcie jedziemy, ale tylko kilkanaście metrów, do budki granicznej gdańskiej. Gdański urzędnik pyta: haben sie etwas zum Verzollen? ponieważ do oclenia nic nie mamy, celnik chce nas już przepuścić, wtem wzrok jego pada na jedną z uczestniczek wycieczki, 14-to letnią panienkę, odznaczającą się swą wybitną objętością. „Wie alt sind sie?“ pyta. Ona najpierw zapomina niemieckiego, choć przeszła już do III gimnazjalnej nowego typu, lecz powoli przytomnieje i jąka się: „ich... habe... nie!... ich... bin vierzehn .. Monate... nie!... Jahre .. alt Po oglądnięciu jej dowodu osobistego celnik dłużej nas już nie zatrzymuje. Jedziemy dalej asfaltową szosą do Zoppot. Miasto jest odświętnie przybrane flagami niebiesko-żółtymi (barwy miasta Zoppot) oraz niemieckimi ze swastyką. Powodem tego jest że przybywamy w czasie „Richard Wagners Festspiele“. Wszędzie ogromne transparenty z napisami „Zoppot grünst die Besucher der E. Wagners Festspiele“, „Besuchet R. Wagners Festspiele“ itd. Idziemy na molo. Przy wejściu widzimy afisz, zapowiadający pierwszy w tym sezonie występ słynnej Waldoper, opery,



grającej pod gołem niebem. Najtańsze miejsce stojące kosztuje 6 guldenów, co w przeliczeniu na walutę polską, wynosi 6 zł. Mimo to frekwencja w Waldoper dochodzi podobno do kilkunastu tysięcy widzów na jednym przedstawieniu. Na pierwszy ogień Waldoper idzie „Parsival“ Wagnera. Obok afisz, obwieszczający jakiś koncert solistów i drugi oznajmiający, że wielki turniej tenisowy z udziałem wielu czołowych raket państw europejskich zbliża się ku końcowi.

Na molo wstęp jest dosłownie „dziś za pieniądze, jutro zadarmo“, to znaczy, że wstęp na molo podczas koncertu orkiestry, która gra tu kilka razy w tygodniu, jest płatny, a w inne dni bezpłatny. W lipcu odbył się tu koncert orkiestry symfonicznej pod batutą słynnego dyrygenta Straussa. Do mola przybija właśnie jakiś mały parowiec, wysiada wycieczka studentów, zdaje się warszawskich. Z mola piękny widok na dużą fontannę, na tle Domu Zdrojowego i Kasyna. Wszędzie dużo zieleni, palm, kwiatów. Bliżej widać plażę, pełną letników. Idziemy teraz na ulicę, by oglądnąć z zewnątrz Kasyno. Przed kasynem długi szereg nowych, eleganckich aut, ludzi, którzy przyjeżdżają tu, by grać w ruletkę. Na zwiedzanie Kasyna wewnątrz niema czasu, zresztą i tak młodzieży wstęp wzbroniony. Trudno! Jedziemy dalej. Przejeżdżamy obok toru wyścigowego i pięknego Erholungsplatz. Koło Oliwy widzimy białe eleganckie tramwaje. Obsługują one jedyną tutaj linię Gdańsk-Oliwa. Na obszarze Wolnego Miasta, Gdańska zaprowadzona jest, podobnie jak w Gdyni, stała komunikacja autobusowa. Droga jest piękna, ocieniona rzędami drzew. Porządek wzorowy, dzięki, dzięki podzieleniu szosy na pasy dla tramwajów, aut, rowerów, pieszych i furmanek.

Dok. nast.

---

Redakcja otrzymała wiele sprawozdań z wędrowek wakacyjnych naszej młodzieży, najlepsze będą w dalszym ciągu drukowane w następnych numerach „Mł G“.

Ostatniego lata mnóstwo uczniów naszego Zakładu wzięło udział w ogólnym ruchu turystycznym, a dokładnie opracowane szczegóły jego ogłosimy w dalszym numerze. Czterech uczniów odbyło piękne podróże zagranicę, a prawie niema krajny geograficznej w Polsce, gdzieby nie przebywała młodzież jasielska, zwiedzając zabytki przyrody i architektury i **zachwycając się pięknem** naszej Ojczyzny.

---







